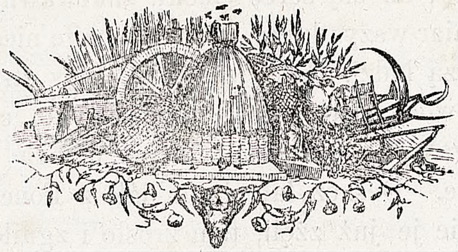
Tom XI. **Nr. 13.**

1. listopada **1864.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ciężkie czasy!

Kędy tylko stąpisz, gdzie tylko zaglądniesz, z kim tylko pogadasz — zawsze i wszędzie lamentują ludziska okrutnie na ciężkie czasy! Jeździłem niedawno z furmanką po naszej ziemi, a gdzie tylko wstąpiłem po drodze, wszędzie mi opowiadano o biedzie i ciężkich czasach. Czy bogaty, czy ubogi, czy gazda czy parobek, czy stary, czy młody, wszystko to jedno, żaden nic innego nie ma na języku, jeno ciężkie czasy.

— Hm! — pomyślałem sobie — ciężkie to zaprawdę muszą być czasy, kiedy na nie wciąż tak biedny nasz ludek narzeka, nie ma co mówić ciężkie nie lada!...

I jadąc sobie dalej, pofolgowałem szkapiętom, a sam począłem dumać sobie nad temi ciężkimi czasami. I tak myśli po myślach biegały mi po głowie, a w uszach mi ciągle szumiały skargi ludzkie: ciężkie czasy! A com sobie przez drogę rozmyślał, to wam tu opowiem, kochani kumotrowie.

Już to nie ma co mówić, że sam Pan Bóg nie pobłogosławił nam w tych latach. Nie jedno nieszczęście spadło na naszą ukochaną ziemię, aż się serce człeku zakrwawiło. A tego roku, to jakby na domiar wszystkiego licha, rozmaite nieszczęścia i przytrafunki kłopoczą ludzi. Bo to najpierw były straszne powodzie. Gdzieniegdzie woda całe wioski poniszczyła, chudobę zabrała, grunta pozalewała, a nie jeden i nie dwóch znalazło śmierć nagłą w wodzie. Deszcz lał ciągle jak z konewki, zboże niedojrzało, a gdzie je już zżęli, tam zrosło i zgniło. W niektórych stronach, to aż mnie na duszy żałośno się robiło, kiedy zobaczyłem na własne oczy, czemu by nikt nie dał wiary, że zboże jeszcze do tego czasu nie pozbierane. Oj bieda tego roku, bieda, więcej jej niż kiedy, o tem już i nie ma co mówić.

Ale myśląc sobie dalej, przyszedłem do tej racyi, że na tej biedzie, co ją Pan Najwyższy dopuszcza, nie koniec, i że człowiek sam daleko większą jest przyczyną swej niedoli i sam sobie sprawia kłopot i nieszczęście. Dla tego też myślę sobie, że nie zawsze ludziska sprawiedliwie lamentują na ciężkie czasy, bo sobie po większej połowie sami zawinili. Zły, leniwy, opilec lub inny jaki ladaco zmarnuje dobytek, zejdzie na dziada, przydybie sobie nieszczęście — i potem wyrzeka i lamentuje: Ciężkie czasy, oj ciężkie czasy!

A już to nie ma co mówić, Bogiem a prawdą, sami mi przyznacie, że tak się najczęściej dzieje. Bo powiadam jeszcze raz swoje, że choć Bóg w niejednem nam niełaskaw i nieraz ciężko nas palcem swoim najświętszym dotyka, to przecież nigdy On tyle na nas biedy nie zeszle, ile jej sobie sami zawinimy.

Dumając sobie o takiej sprawie, zobaczyłem naraz, że dojeżdżam do wsi Gniazdowce. Piękna by to wieś była, ani słowa, bo niczego jej Pan Bóg nie odmówił, ziemia jak masło, pastwiska jak malowane i grzyby i ryby i wszystkiego po pas! Aleć mocny Boże, choć tam Gwiazdowcom Niebo najłaskawsze niczego nie poskąpiło, to mimo to wieś ta okrutnie nędznie i obdarto wyglądała, aż patrzeć było niemiło.

Zajeżdżam przed karczmę, aby koniki popaść, a dawszy im owsa z sieczką i siana, wstąpiłem sam do gospody, bom przemókł do nitki. Patrzę, a tu za ławą, przy flaszce z wódką

siedzi Jędrzej Zawała, com go znał od dawna, bo się dawniej solarzom drohobyckim do furmanki najmował i przez wieś naszą z często przejeżdżał.

— Hej Jędrzeju, a jak mi się tam macie? — zawołałem witając się z znajomym.

Jędrzej dołyknął gorzałki, co miał ją jeszcze w zębach, przywitał się ze mną, poskrobał się za uchem, i mówił:

— Oj źle, ciężkie czasy kumie! Ciężkie czasy!

I pokiwał głową, znowu poskrobał się za prawem uchem, i łyknął gorzałki.

— A coś to już was nie widzę nigdy na furmance — mówię mu — czy już nie jeździcie z solarzami?

Jędrzej: At ciężkie czasy! Nie mam już koni.

— Co nie macie koni, a to cóż się im stało?

Jędrzej: Ciężkie czasy, ta musiałem je sprzedać.

— A dla czego?

Jędrzej: A właśnie nie z innej racyi jeno z biedy, bo miałem dług u żyda, i chciał mnie już do aresztu wsadzić! Oj ciężkie czasy!

— A na cóż wam dług było robić?

Jędrzej: A ot widzicie sam nie wiem, jak to tam narosło. Człek kiedy niekiedy zaglądnął do karczmy, aby się zakropić od zdrowia trochę gorzałką. Żyd rachował, rachował, a w końcu nie chciał dalej borgować i musiałem mu tratę podpisać. A potem to mi chciał grunt sprzedać i do aresztu wsadzić. Oj ciężkie czasy, ciężkie!

Aha, pomyślałem sobie, toś ty nie inak zrobił, jeno przepił konięta bratku, a zamiast narzekać na twój nałóg pijacki, narzekasz na ciężkie czasy!

— A w domu tam u was jak? — pytam dalej.

Jędrzej: Oj źle, dziecko mi niedawno umarło.

— A na Boga! a to na co?

Jędrzej: Ot zwyczajnie, coś go zachwyciło za piersi. Byłoby może i wyzdrowiało, bo mi radzili dobre lekarstwo, ale cóż kiedy go nie kupiłem.

— A to czemu? — pytałem dalej Jędrzeja.

Jędrzej: A gdzie tam ma na to człowiek pieniądze! Teraz takie ciężkie czasy! Mortku daj no jeszcze kwaterkę!

A bodajżeś się zadławił tą wódką, co ją wolisz kupić niż dla jedynego dziecka lekarstwo, coby ledwie było i dziesiątej części tyle grosza nie kosztowało — pomyślałem sobie i aż mnie za serce ścisnęło.

— A jakże tam na polu? — pytam znowu.

Jędrzej: Oj źle. Ciężkie czasy. Zboże mi pozrastało, bom w dobry czas nie mógł pozbierać.

— A to czemu? — pytam Jędrzeja.

Jędrzej: Ot bo widzicie po śmierci dziecka żona się rozchorzała a człek do furmanki się ozwyczaił. Odkładałem sobie tę robotę od jutra do jutra, ta wymokło. Oj ciężkie czasy! Jutro prowadzę ostatnią krowę na sprzedaż.

Na to mnie już gniew siarczysty porwał, splunąłem i zawołałem:

— At nie obrażajcie Boga Jędrzeju! Nie czasy to ciężkie, ale z was ciemięga ciężki i nieroba, a przytem moczymorda wielki, sami zaprzepaściliście wszystko, a składacie wszystko na ciężkie czasy! Tfu do licha!

Jędrzej poskrobał się w głowę, łyknął znowu kieliszek i mówi:

— Aj gdzież tam, człek pije aby zapić ciężkie czasy. U całej naszej gromady teraz takie ciężkie czasy, przyjdą tu do karczmy nie zadługo inni gazdowie, to się spytacie.

A ja mu na to:

— A to już wiem dlaczego wasza wieś taka nędzna i obdarta. To u was wszyscy chyba tacy jak i wy Jędrzeju! Ale na Boga kochanego powiadam wam, nie ciężkie czasy, ale wy winni wszystkiemu. Dla opojów i ladaców zawsze ciężkie czasy! Bądźcie mi zdrowi!

I chwyciwszy za bicz wybiegłem do koni i pojechałem dalej.

A przez drogę myślałem znowu o tych ciężkich czasach i Jędrzejach. Wierzcie mi ludzie, nie jeden to taki Jędrzej na świecie, co z własnej winy zejdzie na biedę, a potem wyrzeka na ciężkie czasy. Pan Bóg nigdy na człowieka nie zseła takich złych czasów, aby pracą i zachodem nie mógł ratować się jako

tako. Sami to ludzie przez lenistwo, niedbalstwo i inne złe nałogi sprowadzają na siebie ciężkie czasy, a zamiast ratować się potem, dalej jeszcze brną w nędzę. Pracuj pilnie i módl się, a nie będziesz miał ciężkich czasów — a choć Pan Bóg dotknie cię swą niełaską i o jaką klęskę cały kraj przyprawi, to nie opuszczaj rąk, ale pracuj dalej ochotnie, a wyżyjesz po bożemu i w najcięższych czasach.

Pamiętajcie sobie to ludzie i zostańcie z Bogiem!

Kuba z Kobła.

Piosnka sieroty.

Szukałem oczyma,
Szukałem po świecie.
Nigdzie szczęścia nie ma,
Gdzież ono jest przecie?

Drzysz i płaczesz brzozo,
Dąb się stary żali,
Zrąbią was, powiozą,
Człek potnie i spali.

Trawka mi mówiła,
Że ją depcze zwierzę,
Woda się skarżyła,
Że ją ziemia bierze,

Pytałem obłoku
Czy mu dobrze w niebie?
Ale łzy miał w oku,
Piorun rzucał z siebie.

Pytałem u ludzi,
Nikt nie widział doli,
Każdy z nas się trudzi,
Każdego coś boli!

Szukałem oczyma
Szukałem po świecie:
Nigdzie szczęścia nie ma,
Gdzież ono jest przecie?..

J. I. Kraszewski.

Sołtysianka.

Opowiedział Stach Barwinek.

II.

Gdy przyszedł Grześ do domu, począł gorzko płakać... On kochał Halkę nad swe życie, kochał ją pierwszą po swej matce starej! Dla Halki byłby poświęcił wszystko co miał, byłby życie wydał za nią, a ona mu odpłaciła taką szkaradną zdradą!... Zamiast pracowitego, poczciwego parobczaka wolała

jakiegoś obcego przybłędę ze świata, nierobę, i niecnotę, co nawet nie umiał zagadać do niej serdeczną mową polską. A dla czego? Oto, że Franc nosił surdut z pańska po niemiecku, że umiał w tańcu wyłamywać nogi po cudacku i dał jej na darunek złote pierścienie! Oj źle to, źle, jeśli dziewczęta patrzą na takie marności!... Prędzej lub później spotka je takie nieszczęście, jak Halkę Sołtysiankę.

Ale wróćmy do Grzesia. Kiedy stara matka zobaczyła syna w takim srogim smutku, poczęła go z płaczem wypytywać, co mu takiego. Grześ opowiedział wszystko matce, a ona mu na to:

— Przestań smucić się synu! Halka niewarta ciebie, niech sobie trzyma tego włóczęgę, kiedy go woli, niż ciebie swojaka! Jest we wsi więcej dziewcząt hożych, każda pójdzie za ciebie, i każda będzie lepsza niż Halka niewierna!

Ale Grześ nie dał się uspokoić, bo mu serce pękało z boleści. Kilka dni przetęsknił i przemarudził w chacie, potem spakował swój przyodziewek, najął dla matki do pomocy poczciwego parobka, i rzekł do matki:

— Nie wytrzymam ja tu od wielkiej boleści. Ile bym razy spojrzał na Halkę, serce by mi się krwawiło. Pójdę w świat, może trochę zapomnę, a potem wrócę do was, droga matko!

I wziąwszy tłumoczek na plecy, pożegnał się z starą matką i poszedł w świat....

Tymczasem już we wsi o niczem nie mówią, jeno o Francu i o Halce, o złotych pierścieniach i drogich koralikach, co jej darował i o biednym Grzesiu, co w świat powędrował.

W końcu dowiedział się o tem i sołtys Sołoda, który nic przed tem nie wiedział, że Halka ma konszachty z Francem, Okropnie się zgryzł stary, bo wiedział co to zły człowiek ten Franc, a Grzesia żal mu było jak syna. Biedny Sołoda nie spodziewał się nigdy, aby jego jedynaczka Halka na taką złą drogę zeszła i z rozżalenia i zgryzoty stary pożółkł i zgarbił się przez jedną noc, jakby mu 10 lat przybyło.

Było to właśnie rano w niedzielę, stary zwlókł się z łóżka, ubrał się i przywołał Halkę. Gdy Halka przyszła, popatrzył jej Sołoda w oczy surowo, aż pobladła dziewczyna widząc gniew i zgryzotę w oczach swego ojca.

— Halko — rzekł do niej stary — Halko! takiej się po tobie pociechy doczekałem!...

Halkę jakby krew oblała, tak się zarumieniła, a potem znowu blada stanęła, jak chusta.

Stary uchwycił ją za rękę, popatrzył jej znów w oczy i zawołał:

— Halko, niedobra dziewczyno! powiedz mi, powiedz zaraz, czy prawda to, co ludzie o tobie mówią? Ty się wdajesz z Francem, tyś porzuciła Grzesia! Gdzie masz te kulczyki, te korale drogie, co ci dał Franc! Powiedz! powiedz mi zaraz! i trząsł ręką Halki stary Sołda, a z oczu łzy mu się puściły po pomarszczonej twarzy.

Halka zachwiała się na nogach, twarz jej blada była jak u trupa. Nie mogła się wypierać, milczała tylko. Sołoda poszedł do alkierza i pociągnął za sobą Halkę. Tu roztworzył kuferek, gdzie Halka trzymała swoją odzież a tam leżały złote pierścionki i łańcuszki i korale!

Wtem dał się słyszeć jakiś hałas na podwórzu, a za chwilę wpadli jacyś ludzie do izby Sołody. Byli to żandarmi. Między nimi był Franc, skuty kajdanami. Halka gdy go ujrzała, krzyknęła strasznie i padła na ziemię jak nieżywa.

Sołoda chciał ratować córkę gdy w tem przystąpił żandarm i mówił:

— We dworze ukradł ktoś złote obrączki i łańcuszki i wykazało się, że zbrodni tej dopuścił się oto ten człowiek, zwany we wsi *Franc.* Mówi on, że wy sołtysie i wasza córka pomagaliście mu w kradzieży! Chodźcie z nami. Mam rozkaz was i waszą córkę dostawić do sądu!

Gdyby był piorun uderzył z jasnego nieba w siwą głowę starego sołtysa Sołody — byłby go może nie zabił tak nagle, jak te słowa. Stary Sołoda był kmieciem szanowanym, zamożny, nigdy jeszcze ręka jego nie skalała się krzywdą cudzą, a na starość miał iść do sądu jak złodziej prosty. Zatrząsł się cały, posiniał i upadł na ziemię bez duszy. Gdy go chciano ratować już było za późno. Stary Sołoda skonał....

Żandarmi zobaczyli skradzione złoto i wziąwszy je z sobą, poprowadzili Halkę, która tymczasem przyszła do siebie, razem z okutym Francem do miasta.

III.

Halka przez całą drogę do miasta ani ust nie otworzyła, niema i blada siedziała na wozie koło okutego Franca. Snać nieszczęśliwa dziewczyna nie mogła pojąć, co się stało i nieprzytomnie spoglądała to na żandarmów, to na Franca. Zaś Franc siedział także w milczeniu, jeno chmurnie przed siebie spoglądał i od czasu do czasu kajdanami dzwonił.

Tak przywieźli ich do miasta, gdzie ich zaraz oddano do sądu. W sądzie zaczęto zaraz sprawę i oto wykazało się, że Franc sam skradł ze dworu złote pierścienie, a ani stary Sołoda, ani Halka nie byli winni. Franc rozpatrzył się dobrze we dworze, gdzie znał jednego lokaja, i w nocy zakradłszy się do pokoju, porabował te drogie pierścienie i łańcuszki. Trochę z tego dał Halce, a nieroztropna dziewczyna przyjęła je, bo nie wiedziała zkąd pochodzą.

Franc zwalił połowę winy na starego Sołodę i jego córkę — bo myślał ten zbrodzień, że przez to sobie pomoże.... Ale wykręt jego nie udał się — Franc poszedł do kryminału.

Gdy się niewinność Halki pokazała wyraźnie, puszczono ją do domu.

Halka powróciła do wsi zbiedzona i znękana — ale już nie miała do kogo powrócić. Ojca jej już tymczasem pochowano. Z boleści i wstydu Halka od rozumu odchodziła. Siadła sobie na progu chaty i tam jak martwa całą noc przesiedziała. Nad ranem wzięły ją do siebie sąsiadki.

Oj srogo była pokaraną Halka za swoją swawolę! Nietylko że ojca o śmierć przyprawiła, że ją jak złodziejkę do sądu włóczono, ale do tego jeszcze widziała własną swą hańbę i i sromotę, bo za marny pierścień złoty i za słówka gładkie oddała Francowi swój wstyd i wieniec dziewiczy!

Jak cień błąkała się Halka to po pustej chacie, to po sąsiadkach a coraz bardziej schła i marniała. Aż serce bolało, patrzeć na tę biedną dziewczynę!... Tak minął miesiąc cały, a Halka przez ten czas ani spała, ani jadła ani też słowa do kogo przemówiła. Chyba gdy była sama, to plątały się jej po języku rozmaite dziwaczne słowa, a często wymawiała imię Franca i Grzesia.

Aż nareszcie zginęła naraz bez śladu... Szukano jej wszędzie ale daremnie. Aż za tydzień znalazł jeden rybak ciało jej w wodzie.

Snać się utopiła z wstydu i żałości....

IV.

Właśnie kiedy chowano Halkę, wrócił nagle Grześ do wsi. Nie mógł długo wytrzymać między obcymi ludźmi, serce go zabolało za matką i mówił sobie:

— Cóż ci winna twoja matka, żeś ją opuścił w starości?... Czyż za Halkę ma cierpieć biedna staruszka? Ciężkom przewinił, że z żalu po niewiernej dziewczynie porzuciłem matkę która mnie tak kocha i pewnie gorzko za mną płacze....

I wrócił do wsi. Właśnie był w środku wsi, gdy ujrzał pogrzeb Halki. Nie wiedział, kogo to niosą na wieczne odpoczywanie, bo mu nikt nie opowiedział o tem, co zaszło od tego czasu w chacie Sołody. Zdjął kapelusz i czekał aż pogrzeb go minie, mówiąc nabożnie: Wieczne odpoczywanie....

Gdy go zobaczyli ludzie, co szli za pogrzebem, poczęli szeptać:

— Grześ! Grześ wrócił!...

Grześ zbliżył się do jednej z kobiet, co szły za trumną i zapytał:

— Powiedzcież mi proszę, kogo pan Bóg powołał z tej ziemi?

— A to wy o niczem nie wiecie, Grzesiu — odpowiedziała kobieta — tać to Halka sia utopiła!

— Halka!... — zawołał okropnie Grześ i rzucił się na trumnę, i począł ją całować i płakać z całego serca.

Ludzie się rozstąpili i patrzali jak na dziwowisko. Naraz ktoś Grzesia chwycił za rękę i zawołał go po imieniu.... Grześ się obrócił — była to stara matka jego.... Powitała go z radością i płaczem i zaprowadziła jak dziecko do chaty. Tu mu opowiedziała wszystko.... Grześ nic nie mówił, jeno drżał, jakby go febra trzęsła. Na drugi dzień rozchorował się śmiertelnie.... Odleżał miesiąc cały....

V.

Kilka lat minęło... Kilka lat to nie dni kilka. Przez ten czas niejedna łza wyschnie, niejedna żałość człeka opuści, o

niejednem nieszczęściu ludzie zapomną. Grześ wprawdzie nie zapomniał o Halce, ale przestał już płakać za niewierną dziewczyną. Na prośbę starej matki postanowił się ożenić.

Wybrał sobie Anusię, córkę zagrodnika Macieja, dobrą i pracowitą dziewczynę, która go całą duszą pokochała.

Grób nieszczęśliwej Halki już po raz piąty okrył się zieloną morawą, kiedy Grześ obchodził swe wesele. Kiedy dziewczęta ze wsi zaspiewały na godach krakowiaka:

Wanda leży w naszej ziemi, co nie chciała niemca,
Lepiej zawsze mieć swojego niźli cudzoziemca....

Grześ przypomniał sobie Franca i Halkę i łza mu się zakręciła w oku. Ale przy dobrej żonie i starej matuli zapomniał Grześ do reszty o swojem dawnem kochaniu i o Halce, co mu wiarę złomała i za marności swego wianka się wyrzekła.

Został najporządniejszym gospodarzem we wsi i w pracy i zacności pędził życie. Kiedy dwa lata temu jechałem w niedzielę przez Wrotnowice, wypadła mi droga pod cmentarz i zobaczyłem tam jakiegoś gazdę z żoną i dziećmi... Był to Grześ ze swoimi. Modlił się on na grobie swej matki, która już także umarła, a potem poszedł z żoną i z dziećmi na grób starego Sołody i Halki i tam modlili się także za ich dusze....

Franc odsiedział długi czas w kryminale, a potem gdzieś znikł w szerokim świecie. Stary Jacenty, co zeszłego roku był na Zebrzydowskiej Kalwaryi, powiedział, że go widział między proszalnymi żebrakami. Tak to Bóg pokarał tego złego człowieka, co tyle nieszczęścia narobił i biedną Halkę zgubił.

Ja zaś spisałem tę całą smutną historyę na naukę dla naszych dziewuch wiejskich, aby chowały cnotę w sercu i strzegły się przed takimi hultajami, jak Franc. Niech żyją we wstydzie dziewiczym i bogobojności, bo za nic uroda i majątek, gdzie nie ma cnoty. Macie tego przykład w historyi sołtysianki Sołodównej.

Gawęda o gromadzie.

III.
Różne inne potrzeby gromadzkie.

Wykazałem wam zeszłym razem jasno, że gromadzie porządnej koniecznie potrzeba uczciwej szkółki. Ale nie na tem się to jeszcze kończą potrzeby gromadzkie.

Mówiłem wam z samego początku, że gromada porządna powinna być taką, aby każdy, co w niej żyje, miał ochronę i bezpieczeństwo. Gdyby gromada nie opiekowała się wszystkimi swoimi członkami a przez to samo i sobą — toby ludzie nie mieli potrzeby, żyć razem czyli gromadnie, ale każdy by sobie gdzieś na osobności mógł założyć zagrodę.

Spytacie mnie teraz, jakie to bezpieczeństwo powinno być w gromadzie?

Na to wam odpowiem: Człowiek przez całe życie nie jest pewny, czy go nie nawiedzi jaki nieszczęśliwy wypadek. A wypadki te bywają rozmaite. Nieraz dzieją się one z winy złych ludzi, a nieraz z czystego przytrafunku lub dopustu bożego.

Otóż w takich wypadkach gromada powinna wiedzieć, co ma robić, aby złe naprawić. Ale lepiej to daleko, nie dopuszczać, aby się nieszczęście stało, niż brać się wtedy do ratunku, kiedy nieszczęście już jest. Dlatego też gromada powinna się zawsze mieć na baczności, aby nie dopuścić do nieszczęścia.

Jak cię złodziej okradnie, to ci to nieraz nie pomoże, że go szukać będziesz. Lepsza to sztuka, nie dać się okraść! Tak też powinno być i w gromadzie. Powinna ona najpierw baczyć na to, aby we wsi nie było złodziei, rabusiów i innych hultajów.

— A jakżeż na to poradzić? — zapytacie.

Od tego moiściewy jest urząd gromadzki. Urząd gromadzki powinni stanowić sami ludzie zacni i porządni, a przytem rozumni i ostrożni. Jeżeli wójt i inni urzędnicy we wsi rozumią się na swych powinnościach, to pewnikiem nie będą się działy we wsi kradzieże i rozboje. Trzeba tylko dać pozór na takich ludzi, co o nich źle mówią w gromadzie, trzeba uważać na to, aby żaden cudzy ladaco lub włóczęga nie pokazywał się we

wsi, a nie będzie żadnych kradzieży i zbrodni. Jednem słowem, trzeba aby urząd gromadzki był pilnym i ostrożnym, a nie takim, jak to jest w niejednej wsi, że wójt jeno imię wójta nosi, a w samej prawdzie nic nie robi dla gromady.

Ale nie tylko źli ludzie robią nieszczęście i szkodę. Jest wiele innych przytrafunków, co z niczyjej winy się zdarzają, jak np. ognie i powodzie. Podobno to nic takiej klęski nie zadaje naszym wsiom, nic tak często ludzi na żebraninę i nieszczęście sprowadza, jak te pożary! Co dzień prawie słychać od ludzi, że się tam lub ówdzie paliło, że pogorzały chaty i chudoba, że nawet i ludzie zginęli w ogniu. Straszne to nieszczęście ten ogień i dla tego też gromada powinna z całej siły dbać o to, aby nie było pożaru.

A cóż my temu poradzimy — powie nie jeden — ognia człek nie odwróci, bo nikt nie wie, kiedy wybuchnie. A ja wam powiem, że na ogień jest rada. Bo uważcie jeno, z jakiej to przyczyny często wybuchają pożary?... Oto najczęściej z nieprzezorności. A co przez nieuwagę się stać może, to przez uwagę można odwrócić. Dla tego więc urząd gromadzki i starsi gazdowie powinni w to wglądać, aby we wsi zachowano ostrożność z ogniem, a kto tej nieostrożności nie dochowa, ten zasługuje na surowę karę, bo naraża całą wieś na nieszczęście.

Ale na samej ostrożności także nie dosyć. Trzeba zaopatrzyć się we wszystko, aby w takim razie, kiedy już ogień wybuchnie, można ratować ludzkie mienie. W każdej porządnej wsi powinny być nocne straże, ale takie coby na prawdę pilnie dawały pozór, a nie tacy wartownicy, co to z nich niejeden huknie kilka razy Ostrożnie z ogniem a potem przytuli się gdzie pod płotem, albo do domu pójdzie, i spi.

Każdy gospodarz powinien być przygotowanym na ogień, aby w przypadku każdy mógł dobrze ratować. A więc jeden niechaj ma hak żelazny, drugi konewkę w pogotowiu, trzeci sikawkę ręczną. Wtedy, jeśli wybuchnie pożar, nie przyjdzie żaden z gołemi rękami, ale będzie miał z czem spieszyć na ratunek. Urząd gromadzki powinien na to dbać bardzo, aby każdy, co mu nakazano mieć sikawkę, albo hak albo konewkę, stawał do ognia z hakiem, z sikawką, z konewką.

Wtedy choć Bóg dopuści nieszczęścia, to nie będzie ono takie wielkie i straszne. W każdej porządnej gromadzie powinno być wszystko tak zachowane, jak wam tu wyjaśniliśmy. A poźniej znowu pomówimy o innych gromadzkich potrzebach.

Pisanie Juliusza Ligonia,

kowala na pruskim Szlązku do Dzwonka.

Już temu dwa miesiące będzie, kiedy Juliusz Ligoń pisał do Dzwonka list wierszami ułożony. Piękne nam pisze rzeczy ten zacny nasz rodak ze Szlązka, z dalekiej tej polskiej ziemi, i warta by zaprawdę, aby ci kmiotkowie kochani, co czytają Dzwonek, wzięli sobie do serca nauki, które im Ligoń daje. Dla tego też drukujemy tu w cząsteczce te wiersze poczciwego rodaka, wyjmując z nich to tylko, co najważniejsze, bo by w małym naszym Dzwonku na wszystko miejsca niestało. Oto co pisze do nas i do was, kochani bracia, Ligoń:

Moi szanowni czytelnicy mili!
Witam was bracia serdecznie w tej chwili,
Oraz winszuję ze serca szczerego,
Aby *Dzwoneczek* bywał zawsze u każdego.
O czytajmy pilnie to co jest dobrego,
A strzeżmy się zawsze od czytania złego,
Lecz czytajmy zawsze z takiemi myślami,
By dobre jak możność pełnić uczynkami,
Bo wam jest wiadomo moi przyjaciele,
Że ci tylko, co czynią tu dobrego wiele,
Po tem ziemskiem życiu szczęśliwymi będą
I wieczną nagrodę od Boga posiędą!...
Brzydźmy się więc tymi, co żyją w ciemnocie,
I co się walają w grzechu i niecnocie.
Wymienię na przykład te miłości świata,
W których wiele ludzi pędzi swoje lata.
Ci wszyscy pieniądze i zdrowie marnują,
A zamiast zbawienia piekło se kupują:
Najprzód są to tacy, co w karczmach siadają
Pieniądze, czas, zdrowie na marność wydają,
Miłują gorzałkę nad Boga i duszę,
Nad tym nierozumem aże płakać muszę.

Milszy im jest Mosiek, niż żona i dzieci,
Bo u Moszka flaszka, ich bożyszcze świeci,
Tam ciągle bełkoczą za taflą w natłoku
A w dymie fajecznym, to żeby w obłoku.
Na książkę załują grajcara odłożyć
Choćby z tego szczęścia mogli wiele dożyć,
Ale na gorzałkę talara nie szkoda,
Choć ztąd do dobrego jest wielka przeszkoda.
Do tych też należy taneczników wiele,
Tym też milej w karczmie, niżeli w kościele,
Bo w kościele z rana zamykają oczy
W karczmie się spać nie chce, choćby o północy.
O bracia kochani, zaniechajmy złego!
Bo raz przyjdzie oddać rachunek z wszystkiego,
Ze słowa, ze zdrowia, z czasu i z pieniędzy,
A kto źle szafuje, będzie w wielkiej nędzy.

. . . .

Radbym was odwiedzał często przez *Dzwoneczek*,
Ale że do Lwowa spory kawałeczek,
Więc Bogu was wszystkich w opiekę oddaję,
Do śmierci wam bratnim rodakiem zostaję.

Juliusz Ligoń,
kowal w Zawadzkiem na pruskim Szlązku.

Rady gospodarskie.

Użytek liści rzepakowych w kuchni.

Niejednej gospodyni jeszcze nie wiadomo, że liście rzepaku zimowego, kiedy w jesieni dostatecznie się rozrosną, doskonałą dla kuchni dają jarzynę. Na ten cel bierze się dolne liście, które i tak w zimie odpadają, i przyprawia jak jarmuż lub szpinak. Taka jarzyna jest bardzo smaczna i trzyma środek pomiędzy jarmużem i szpinakiem. Smak jej może być podwyższony przez zrywanie liści po szronie lub lekkim nocnym mrozie.

Układanie owoców na zimę do piasku.

Najlepszym i najtańszym sposobem przechowywania owoców na zimę jest układanie do piasku. Piasek powinien jednak być

wilgły, drobny i czysty. Takowy sypie się na dno beczek, do których się owoce kładą tak, aby się z sobą nie dotykały; potem owoce posypią się piaskiem, i na to w ten sam sposób kładą się nowe warstwy owoców i piasku. Tak ułożone owoce w piasku zachowują długo swą świeżość, woń i kolor, ani się jedno od drugiego nie nadpsuje.

RÓŻNOŚCI.

Jako kochanemu naszemu Teofilowi Lenartowiczowi zmarł synek jedyny na obcej ziemi. Nie potrzeba was pono pytać kochani ludkowie, kto jest Teofil Lenartowicz?... Toć drukowaliśmy wam przecie w Dzwonku nie raz i nie dwa razy przecudne, serdeczne piosenki naszego Teofila. Przezacny to i wielce szanowny nasz rodak! Kto tylko na polskiej ziemi żyje i polskiem powietrzem oddycha, powinien szanować i kochać imię jego. Teofil Lenartowecz taki już otrzymał dar od Stwórcy Wszechmocnego, że jak zaspiewa jaką piosnkę piękną, to człeku serce bije w piersiach, gdyby ptaszyna w klatce. A piosnek tych prześlicznych wyspiewał nam już dużo ten nasz rodak ukochany, że aż po całej ziemi polskiej się rozniosły, jak dzwon po rosie, i spiewać nam będzie dalej na pocieszenie serca w smutku, choć go samego dotyka boleść i nie jeden raz zakrwawiła mu się dusza!... Bo trzeba wam naprzód wiedzieć, że ten nasz ulubiony brat Teofil Lenartowicz jest słabego zdrowia i zaniemaga często ciężko, więc mu też lekarze kazali wyjechać w strony dalekie, do ciepłego kraju, co się zwie Włochami, aby tam podratował się trochę na pogodnem powietrzu. Mieszka więc nasz Teofil w tej ziemi włoskiej, niedaleko od tego miasta, gdzie Ojciec święty przebywa. Ale jakżeż to być Polakowi wesołym na obcej ziemi, a do tego Polakowi, co tak ziemię polską i ludek jej umiłował!... Ale nie na tem się jeszcze kończy utrapienie Lenartowicza. Oto Pan Bóg dotknął go niedawno srogo swym palcem świętym i serce jego gorzką boleścią przepoił. Oto niedawno temu zabrał mu Bóg do chwały swej niebieskiej synka jedynaka, co go nasz spiewak drogi kochał nad życie. Ledwie roczek miała dziecina, kiedy się przeniosła do lepszego świata. Czyż wam potrzebuję mówić, jak po tej jedynej dziecinie boleje serce naszego Teofila?... Oj wie to każdy, kogo już Pan Bóg tak ciężko dotknął w życiu! Pochował Lenartowicz swego synka na obcej ziemi, w jednem mieście włoskiem, co się zwie Antignano, i tam mu na nagrobku taki czuły wierszyk wypisał:

Jasiowi Lenartowiczowi

zmarłemu w Antignano 25. lipca 1864 roku.

Nieszczęśliwi rodzice ten kamień położyli.

Ledwie roczek przebywszy, rozstałeś się z nami,
Ty w niebie, a my w koło patrzymy ze łzami,
Czy cię nie zobaczymy, czy z jakiego kątka
Nie wyjrzy do nas liczko naszego dzieciątka;
Czy ojca nie zawoła, k' matce się nie skłoni,
Kwiatku niebieski! prędko uschłeś w naszej dłoni!

Aż się serce kraje, gdy człek wspomni na tę boleść Teofila Lenartowicza. Westchnijcie i wy do Boga, aby pocieszył tego naszego brata najukochańszego. Spiewał on nam serdecznie w dobrej i złej doli, westchnijmyż z nim razem w jego boleści!...

STARE PRZYPOWIEŚCI.

1. Nie ma język kości, gęba pana.
2. Cudze proso oganiał, jego zjadły wróble.
3. Droższe skarby posiędzie ten człowiek od złota — u którego je chleb żebrak i sierota.
4. Koń bosy na mróz, but dziurawy na błoto, tępa siekiera na drwa, nie pewne są.

Pisarz Dzwonka do swoich dobrych przyjaciół.

Wielebn. Xiędzu J. M., który łaskaw był na nasz Dzwonek i nadesłał dla naszego ludku powiastkę pouczającą, z całego serca dziękujemy. Wydrukujemy ją co rychlej, jeno niektóre małe skrócenia porobimy, bo Dzwonek mały, a tu i to i owo ciśnie się koniecznie do druku. Nie zapominajcie o nas i dalej szanowny xięże dobrodzieju.

Sz. Józefowi z Bochni dziękujemy też szczerze za nadesłane pisanie, ale go tak wydrukować nie możemy, jak je nam przysłał. Potrzeba tam wiele zmian i skróceń. Wolelibyśmy jakie opowiadania z nauk rozmaitych, niż powiastki.

Sz. Wojciechowi Michnie z Zakopanego. Wasze opowiadanie o Żmudzi wydrukowaliśmy zaraz w pierwszym numerku, zmieniwszy je jak potrzeba było. Zaś o szkole we wsi Klimkowce wydrukować nie możemy, choć tam świętą prawdę mówicie. Zostańcie z Bogiem a nie zapominajcie o nas.

Sz. Józefowi z Woli. Musimy wam pięknie podziękować za ładną piosenkę, co ją z łaski waszej wydrukowaliśmy w Dzwonku. Bądźcie jeno tak dobrzy i przyszlijcie nam rychło jeszcze jakie wierszyki, a Dzwonek i jego przyjaciele z duszy wam za to będę wdzięczni. Panu Bogu was oddaję.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.